



Zygmunt Walkowski

część I z III

Sygnatura notacji: **N0055**

Data urodzenia: **07.12.1936 r.**

Data nagrania: **09.11.2021 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **część I: 61 min, część II: 71 min, część III: 21 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Zygmunt Walkowski: Zygmunt Walkowski. Urodziłem się w Warszawie na ulicy Żelaznej, 7 grudnia 1936 roku. Tam mieszkaliśmy do czasu okupacji, do momentu, kiedy, jak Niemcy zaczęli robić getto, po prostu nas stamtąd wyrzuciono. Jak sięgam jeszcze do czasu zamieszkiwania na ulicy Żelaznej, to pierwsze niesłychanie wyraziste obrazy, z zachowaniem niemalże detali, koloru, pamiętam z 1939 roku. Były to wydarzenia, które bardzo mocno się zarejestrowały w mojej wtedy dziecięcej pamięci, bo pamiętam, był taki moment, w dom obok uderzyła bomba, a my byliśmy w piwnicy. I pamiętam, akurat ja tak w wózku byłem, przy wylocie od komina. I okazuje się, że ten wstrząs sadzę wyrzucił, i my zaczęliśmy się dusić wszyscy. I wiem, że jak mama, nie wiem, rwąc jakieś szmaty, narzucając nam na twarz, żeby się nie podusić... No jakoś udało się przeżyć. Później bardzo wyrywkowo pamiętam, był obok bramy taki sklep, nie pamiętam nazwiska, jednego z Żydów, który mieszkał też w tym domu, i wiem, że siostra miała tam koleżankę, Lonię. I później to był już rok 1940, jak nas Niemcy wyrzucili stamtąd. I pamiętam furę obładowaną tymi rzeczami, które mogliśmy zabrać ze sobą, więc całą stertę, i pamiętam takie wyrywek, odcinek drogi, bardzo charakterystyczny, który się nie da zapomnieć, kratownica mostu Kierbedzia. I to mi, że tak powiem, ustawiła trasę, którą żeśmy pokonywali w ten sposób. I znaleźliśmy się w jednopokojowym, bez kuchni, bez niczego, takim mieszkaniu. Było nas wtedy: tata, mama i czwórka dzieci, mój brat i dwie siostry. Było trudno, bo tata nie miał pracy, a więc zajmował się handlem. Był, wiem, taki moment, że został gdzieś aresztowany, ale dzięki temu, że brat ojca prowadził warsztaty jakieś rentgenowskie i miał pewne możliwości, i udało go się ze Skaryszewskiej po prostu wyrwać, stamtąd. My poniekąd tak byliśmy jakby ciałem obcym, na tej Brzeskiej tam nie bardzo nas ta społeczność, powiedzmy, w naszym wieku przyjmowała, więc my żeśmy chodzili zawsze do Parku Paderewskiego, na Zieleniecką, i tam całymi dniami żeśmy właściwie przebywali. I pamiętam też właśnie, to nie sposób zapomnieć, zdarzenie, którego z począt-

ku w pamięci nie odnotowałem oczywiście, ani dnia, ani miesiąca, ani roku, tylko że było, a była to wielka obława w Parku Paderewskiego, gdzie Niemcy takim szpalerem bardzo gęstym wygarniali wszystkich z parku i gnali w stronę wyjścia przy Alei Waszyngtona, tam jest taka szeroka aleja, i tam po prostu były ustawiane budy, i ta szereg osób, dwa szeregi były, po prostu wganiano do tych bud. Ale tą taką obwodną ulicą, która prowadzi przez park, my żeśmy szli zupełnie... bo był brat, moja siostra i ja, zupełnie zagubieni. I w pewnym momencie podszedł jakiś człowiek do nas, i, pamiętam, miał taki długi bochenek chleba. I powiedział, żeby mówić na niego „tatusiu”. Bratu dał ten chleb, mnie wziął na rękę, siostrę za rękę, brat, taki sznureczek, siostrę, i tak żeśmy szli, gnani do tej głównej alei. I w tym tumultcie, jak już byliśmy niedaleko przed wejściem do tych bud, podszedł... ja w tej chwili mówię: oficer, bo wtedy nie rozpoznawałem tego, i dlatego mówię, że oficer jakiś. I tak: „Raus, raus!”, kazał wyjść nam. I pamiętam, jak przechodziliśmy koło tych bud, ja nosem niemal szorując po tych plandekach, żeśmy wyszli. Najprawdopodobniej była to sytuacja, że ten człowiek uratował nas, a my tego człowieka. I jeszcze taka niesamowita droga przez całą Aleję Zieleniecką, po tej stronie, jak w tej chwili jest stadion, zupełnie opustoszała i co jakiś czas przed ogrodzeniem, wtedy było takie żeliwne, żelazne ogrodzenie, pręty, stały co jakiś czas rozłożone karabiny na nóżkach i warty otaczały cały park. I z tym człowiekiem żeśmy doszli do ulicy Kijowskiej, on ten chleb przełamał, podzieliliśmy się, my poszliśmy w swoją stronę, on w swoją. I pamiętałem zawsze to wydarzenie, bo nie sposób zapomnieć, ale lat temu już parę udało mi się w antykwariacie znaleźć książkę pani Sebyłowej, która mieszkała na ulicy Brzeskiej 5, która prowadziła notatki ze zdarzeń wojennych, i właśnie w tej książce wyczytałem, że był to kwiecień 1943 roku. I wtedy ta sytuacja, która była tak jakby w przestrzeni zawieszona, ona się bardzo określiła, kiedy. Tak że takie niespodziewane nieraz spotkania dopowiadają nam to, co utkwilo nam w formie jakichś obrazów. I to nabrało takiego konkretności. Ponieważ w domu, no cóż tu dużo mówić, nie powodziło się dobrze, a drugi brat mojego ojca, dobrze się powodziło, mieszkał na ulicy Poznańskiej, więc mnie przekazano, że tak powiem, na pobyt, na bycie w domu na ulicy Poznańskiej, tym bardziej że żona brata ojca miała takie rysy, które mogły przypominać, powiedzmy, rysy południowe, może semickie jakieś, prawda, że mogła być Żydówką. I ja miałem na nią mówić „mamo”, żeby być jakby tym dowodem aryjskości. Oni mieli sklep na ulicy Próźnej. I tam czasami żeśmy chodzili. I pamiętam taki... Oczywiście wtedy ja nie patrzyłem na to z taką świadomością jak w tej chwili, na takie zdarzenie, ale co jakiś czas, jak żeśmy szli do tego sklepu, to ciotka wkładała mi za spodnie z tyłu papier jakiś. I czułem taki chłód tego... właśnie to jakby się zarejestrowało, chłód, a później nadmierne ciepło. Nigdy nie wiedziałem, co to jest, teraz raczej tylko w domyśle mogę o tym mówić i wiem, że tam na tę ulicę Próźną żeśmy szli, ale co to było, co się działo, po prostu nie leżało to w mojej strefie możliwości rozpoznania. Teraz tylko się domyślam. Tak że... Oczywiście były różne pomniejszych zdarzenia z czasu okupacji, które nie były jakimiś specjalnie groźnymi, tylko od czasu do czasu, jak wyjeżdżaliśmy na letniaki, to wtedy mnie... żeby nie stracić kontaktu, bo ja tęskniłem bardzo za domem, to ja wtedy wracałem do rodzinki i tam na letniaki wyjeżdżaliśmy do wsi Kuklówka, w której zresztą swego czasu rezydował Chełmoński. I tak się zdarzyło, że w lipcu, ponieważ mama z rodzeństwem i jeszcze z siostrą wyjechały nieco wcześniej na tę Kuklówkę, a ponieważ ja z ciotką przebywałem na takim jakby też letniaku w Otrębusach, przewieziono mnie na tę Kuklówkę. I to był lipiec 1944 roku, i tam zastało nas powstanie. No był to bardzo trudny czas. My mieszkaliśmy w stodole. Nikt nie chciał takiej czeredy przyjąć, no bo starsze rodzeństwo było oddane do pracy, do pasania krów, w ten sposób jakby ulżyło tu domowym obciążeniom, ja natomiast byłem trochę za młody, żeby gdzieś tam być wynajętym, i pamiętam, pomagałem mamie, bo mama chodziła na kopanie kartofli, na takie różne roboty, i mama kopła kartofle, my mieliśmy dwa koszyki, mama wrzucała te kartofle, ja jeden koszyk odnosiłem, ona w drugi, i w ten sposób żeśmy jakby mieli zwiększoną możliwość

przerobu, ale dzięki temu zdobywaliśmy jako zapłatę właśnie po prostu kartofle czy inne produkty, które dawały możliwość przeżycia. Rzeczywiście było bardzo trudno. Wtedy nawet przy takich posługach i tam sąsiednich gospodarzy, jak nieraz się robiło, dla świń tłukło się kartofle w korycie, to się podkradało te kartofle z otrębami, one były dobre zupełnie, i tak jakoś ten czas nam przechodził. Oczywiście w tej stodole byliśmy do czasu już sporych mrozów. Pamiętam, że w wiadrze woda już zamarzała, my nie mieliśmy żadnych przyodziewków, bo tyle co letnie, lekkie sandały, i jak każdy z nas miał koc, to jeszcze dostał w prezencie snopek taki, którym, tym snopkiem, się przykrywa, i rzeczywiście to spełniało swoje zadanie. Dopiero później, staraniem sołtysa, udało się nas umieścić w takim domu państwa Jurczaków, i tam już żeśmy cały czas przebywali. Pamiętam też, jak wieczorem w stronę Warszawy, jak patrzyliśmy, to było takie rozświetlone niebo, to były te łuny jednak płonącego miasta. Żadnych huków, nic nie było słychać, ale dolatywały na pole takie spalone papiery. Nieraz pokrywane były taką szarością. I podejrzewaliśmy, że to było jakby stamtąd. I jeszcze jedną taką rzecz pamiętam, której z początku nie potrafiłem osadzić w dacie, ale w pewnym momencie usłyszeliśmy taki dźwięk jakby brzęczenie much gdzieś, takie „wżżż”. I co się okazuje? Na niebo, patrzymy, leci chmara samolotów. I później pozwoliłem sobie ten czas skonfrontować z nalotem amerykańskim z 18 września. Pamiętam ten taki niesłychany brzęk i ponieważ to była taka chałupina, bo tam byliśmy u takich Wiśniewskich akurat w tym momencie, to brzęczenie szyb. Takich dźwięków się nie da zapomnieć. To są szczegóły, drobiazgi, których się właściwie nigdzie nie odnotowuje, ale które jakby materializują ten miniony czas. I właściwie no dużo było różnych przypadków, wątków, my żeśmy jakby byli wtopieni w tę społeczność Kukłówki. Syn sołtysa, pamiętam, zrobił nam takie łuby z drewna i to było nasze obuwie. Z tym że później, jak już spadł śnieg, to trzeba było... Bo się podklejał śnieg i tak po prostu niewygodnie było chodzić, trzeba było to obłupywać, i pamiętam, jak mama nie widziała, to żeśmy wybiegali na rzekę i na bosaka żeśmy się ślizgali. Tak że nawet bieganie po śniegu, tak z początku było chłodno, ale później rozgrzewało się, nie było to... Żeśmy nawet biegali po śniegu na bosaka. Tak że takie mikrosценki różne. Później była sytuacja... To była już późna jesień 1944 roku, kiedy zaczął się po drodze kuklewskiej, między Radziejowicami a szosą mszczonowską, intensywny ruch pojazdów, koni, pamiętam takie perszerony, takie kopyta grube, to Niemcy tam się przemieszczali, z tym że w tym czasie byliśmy u innych gospodarzy, Żukowskich, i tam byli żołnierze, Niemcy. Nie wiem, co tam się działo, ale w pewnym momencie okazało się, że ci Niemcy w saperkach, one były takie do połowy łydki, nosili granaty ręczne. I jeden gdzieś zgubił taki granat, i nas po prostu wyciągnięto z chałupy, postawiono pod płot wszystkich, pamiętam, jak to trzech stało z bronią i dwóch synów gospodarza miało jakiś czas dany na to, żeby oddać czy znaleźć granat. I po jakimś czasie okazało się, że granat się znalazł. Ale proszę mi wierzyć, to jest pełna świadomość tego, co to jest za sytuacja. Tak że jest to tak jakby na wsi, na uboczu, niby w ciszy, ale jednak takie sceny są, odnotowują się w sposób niezapomniany. Później, jak tak się zintensyfikował ten... Na szczęście nas puszczono, bo ten granat się znalazł. Później ten ruch tam bardzo intensywny był, pamiętam, jak żeśmy wylewali wodę, żeby Niemcy się ślizgali. To takie... Tyle, ile można było zrobić we własnym zakresie. Później przyszli Rosjanie. I pamiętam, takie charakterystyczne mieli płaszcze, te wojskowe, ale one były nieobrobione, takie nitki postrzępione. No to może to jest szczegół, ale to jakoś wchodzi w pamięć jako taka notatka. I w polu raptem zając zaczął biec, i ci Rosjanie zaczęli strzelać, ale jakoś nie trafili. I ja nie pamiętam teraz, któregoś dnia w tym okresie czasu ze starszym ciotecznym bratem i z bratem wybraliśmy się drogą radziejowicką w stronę Grodziska. I tam, już tak niedaleko Grodziska, była sytuacja taka, że zobaczyliśmy w rowie konia, który podgryzał słup. My myśleliśmy, że będziemy mieli konia. I pamiętam, jak przechodziliśmy z jednej strony szosy na drogą, dostaliśmy ostrzał. I po ten szutrowej drodze tylko się zakurzyło, my żeśmy nura dali tam do tego rowu przy koniu,

okazuje się, że ten koń miał złamaną nogę. I później żeśmy kombinowali, jak tu wycofać się z tego, więc pojedynczo żeśmy po prostu przebiegali, żeby... Tylko nie wiem, kto strzelał do nas. Trudno mi powiedzieć, czy to byli Niemcy czy Rosjanie. Nie wiem, bo to była... Widać, znaleźliśmy się między-między. No i później polami już tak, lasem wycofa- liśmy się stamtąd, po drodze zobaczyliśmy dopalający się czołg przy Chawłówku. No i właśnie tyle wspomnień, jeśli chodzi o ten czas powstaniowy. Później, już po czterdziestym... nie pamiętam, kiedy to było, w styczniu, jak ojciec z obozu wrócił, ja akurat rąbałem drewno, i byliśmy zupełnie zaskoczeni tym. Ale jeszcze wcześniej była jedna sytu- acja, gdzie z obozu w Pruszkowie uciekł brat mamy i przyszedł na Kuklówkę, jeszcze oczywiście w czasie chyba końcowego trwania powstania. I pamiętam, że z tym wujkiem chodziłem... Przy stawie [niezrozumiałe, 00:24:45] były młyny, i tam przy tych upustach w kamieniach były raki, więc my żeśmy te raki łapali. I mniej więcej po jakimś tygodniu czasu wujek poszedł do Grodziska, tam go złapano i rozstrzelano. To są takie... Jest masa takich mikroszcze- gółów, których nie sposób wyrzucić z siebie, ale które jakby dają notowanie tamtego czasu. I właściwie później już, chyba to był 1945 rok, wpraw, to był chyba luty, jak mama ze starszym bratem forpocztą wybrali się do Warszawy zobaczyć, jaki jest stan rzeczy, czy mamy do czego wracać. Okazało się, że Brzeska ocalała, i ojciec na wszelki wypadek zdjął okna, bo wtedy szyby były w cenie, w latach okupacji, i one ocalały, okna. I później, już nie pamiętam, ale już cieplej trochę było, jak jeden z sąsiadów tam z Kuklówki za przyrzeczenie jemu, że mamy taką kanapę, że mu to damy, on za to nas odwiózł do Warszawy i jechaliśmy właśnie tą drogą Mszczonowską, przez Okęcie. Pamiętam takie niesłychanie postrzępione drzewa. To nie było tak jak teraz, powiedzmy, taki mają jakiś kształt regularny, tylko one były jakieś, nie wiem... zapamiętałem, one były jakby pokaleczone, jakieś takie... I przed domami, jak się już wjeżdżało w miasto, to czasami takie sterty granatników, takie charakterystyczne, też były. To takie notatki może mało ważne, ale niemniej dające jakiś obraz. I przez już most pontonowy ulicą Karową dojechaliśmy na ulicę Brzeską. I tam, do tego pokoju, później... Bo zostali, była część rodziny ojca i mamy, którzy mieli poniszczone domy, po prostu ścią- gali tam, na tę ulicę Brzeską. I my żeśmy w tym pokoju w piętnaście osób mieszkali. Siostra spała na złączonych krzesłach, brat pod stołem, ja na stole, przy oknie, i miałem straszny lęk, ponieważ to było piąte piętro, a tak z para- petem było to związane, więc mama tam mnie ogradzała, bo ja miałem w sobie lęk, że wyfrunę z tego okna. I tak żeśmy egzystowali. Ale jeszcze jedna taka... Dostaliśmy, wyjeżdżając, w prezencie królika. I ten królik w nocy zżarł trochę kołdry, i zaczął się do ondulacji ciotki dobierać. Po prostu był głodny. No ale później już po prostu spożytko- wany został, no bo taki był jego cel i los. Tak że to jest ten okres taki, bardzo pobieżnie ujmując, wojenny. No później, już po wojnie, ponieważ też nie powodziło nam się dobrze, więc pamiętam, jak na ulicę Targową chodziliśmy po zupę z RGO [Rada Główna Opiekuńcza], no i z wolna rodzina zaczęła gdzieś szukać swojego lokum, i jakoś się troszczę- kę rozgęściło w tej Brzeskiej. I w 1948 roku bodajże, ponieważ ten brat, który miał zakład rentgenologiczny i mu się lepiej powodziło, gdzieś tam zorganizował sobie mieszkanie jakieś inne, i my mieliśmy możliwość przeprowadzenia się na ulicę Chałubińskiego, gdzie tam już były, powiedzmy, co prawda w amfiladzie, ale dwa pokoje z kuchnią, oczywiście toaletka bardzo skromna, ale to już były inne, komfortowe warunki bycia, i tam już od 1948 roku miesz- kaliśmy, na ulicy Chałubińskiego, gdzie do szkoły podstawowej, która mieściła się po przeciwnej stronie ulicy, chodzi- ła nasza cała czereda. Tak że mieliśmy bliźniutko. To był taki barak. Oczywiście w szkole były bardzo... Bardzo dobrze wspominam wydarzenia w szkole, ale jedno mi tak utkwiło, bo jak wszedł czas, żeby się uczyć języka rosyjskiego, i my, tak ogólnie rzecz biorąc, niechętnie żeśmy podchodzili do tego, i był taki profesor Klimek. Zapamiętałem jego słowa. On powiedział: „Słuchajcie, człowiek w swoim życiu oprócz swojego języka powinien znać dwa języki. Język swoich przyjaciół i swoich wrogów. Uczcie się rosyjskiego”. Tak że to jest nie do zapomnienia, takie słowa. No były

różne zdarzenia, ale raczej nauka w szkole średniej nie była zaburzona jakimiś specjalnymi wydarzeniami. Później, w następnym etapie, ale to już nie potrafię w tej chwili osadzić w latach, udało nam się... Bo rodzina się zagęściła, jednak mimo wszystko już wtedy zaczęło być tłoczno w tym mieszkaniu, otrzymaliśmy mieszkanie na ulicy Marszałkowskiej 66, na trzecim piętrze. I to już było ogromne mieszkanie, chyba 107 metrów, kilka pokoi, więc mogliśmy się rozparcelować, i tam do lat już 70., gdzie stamtąd zaczęliśmy wychodzić, każdy w swoje rejony, już formował swoje rodziny, opuszczaliśmy ten dom. To jest tak, nie wiem, tak bardzo pobieżnie. Ja dość wcześnie, lata 60., zacząłem pracę... A jeszcze przedtem właśnie byłem w wojsku. W wojsku byłem w WOP-ie, to są Wojska Ochrony Pogranicza. I ponieważ ja z początku też musiałem zająć się niestety pracą, bo ciężko było w domu, pracowałem w kinie 1 Maj jako pomocnik, później zdobyłem uprawnienia, następnie pracowałem w kinie Ochota, byłem kinooperatorem, i idąc do wojska, oczywiście przydzielono mnie do obsługi kina, a służyłem w Kętrzynie, tam oficerska szkoła była i jednocześnie wojskowa jednostka, i ja prowadziłem, że tak powiem, od tej strony filmowej, jakichś wydarzeń, teatrów wydarzenia. I tam było dość... Ja miałem jakby inny rygor bycia w wojsku, bo po prostu nie byłem w tych takich służbach, wartowniczo, jakimś takim drylu, i służba wojskowa właściwie mi tak przeszła, powiedzmy, dość dobrze odnotowana, bez żadnej większej dokuczliwości. I z tego, co tak w tej chwili pamiętam, kiedyś zrobiłem taki... Ponieważ też prowadziłem radiowęzeł. I kiedyś zrobiłem taki dowcip troszeczkę, w okresie Wyścigu Pokoju, gdzie jakby włączyłem się w radiowęzeł jako sprawozdawca Wyścigu Pokoju, gdzie zacząłem takie dyrdymały mówić, że właśnie wyrwała się trójka kolarzy, w tym sześciu Polaków. No po prostu takie sobie tanie dowcipy robiłem z tego. Ale miałem przez to... To znaczy nie przez to, że robiłem te dowcipy, ale przez to, że byłem i w kinoteatrze, i w radiowęźle, miałem dość takie dobre układy z korpusem oficerskim, oni coś tam chcieli, jakieś nagrania, i zawsze ja miałem, że tak powiem, nie byłem w tym drylu takim czysto wojskowym. Pamiętam, że kiedyś, ponieważ ja nie paliłem nigdy, a zawsze byłem łasy na jedzonko, to ponieważ jednak kwaterowałem w pokojach, gdzie kompania była, to składałem w szafce w plecaku papierosy. Kiedyś zauważyłem, że zaczyna mi tych papierosów ubywać. Z tym że ja co tydzień przekazywałem papierosy dziewczynie do kantyny, a za to dostawałem dziennie bułkę z masłem i z kawałkiem kiełbasy. I w ten sposób mieliśmy taki interes. I zauważyłem, że zaczyna mi ubywać tych papierosów w tym czasie. No oczywiście myślę sobie: „Jak tu dojść do tego, kto to?”. I wpadłem na taki pomysł, nie wiem, czy grzeczny, ponieważ też zajmowałem się fotografią, kupiłem w sklepie fotograficznym magnezji trochę, wziąłem dwie paczki papierosów, wyluskałem trochę, po czym tam ziarenko magnezji, tam zakleiłem, zostawiłem. Okazuje się, że nie ma. I ponieważ też musiałem od czasu do czasu brać udział w jakichś takich zajęciach, to na strzelnicy czy jak, no i w pewnym momencie: „Przerwa, wolno palić!”. No i tego tam częstuje ktoś, w pewnym momencie: „pfu!”, jednemu, „pfu!”, drugiemu. I w jaki sposób się dowiedziałem, kto? Bo ci, którzy byli poczęstowani, pomyśleli, że ten, kto ich częstuje, to zrobił im psikusa. Więc do niego i zaczęli go po łbie okładać. No więc się wtedy do niego... „Koleś, czy pamiętasz, ile tam było papierosków? Jeżeli chcesz, żeby było wszystko cacy, uzupełnij to”. I w ten sposób udało się sprawę, że tak powiem, załagodzić i załatwić. Tak że... Ponieważ niedaleko była siedziba Hitlera w Kętrzynie, no to tam zawsze mogłem się wyrwać, niezależnie od swoich zajęć, poza drylem wojskowym do takich miejsc. Tak że służba wojskowa mi przeszła w miarę dobrze. Później, już po wyjściu z wojska, nadarzyła się okazja zatrudnienia w wytwórni, w wydziale dźwięku. I pamiętam, tam szefem był pan Jankowski i jak ja przyniosłem papiery... On był bardzo dokuczliwy, taki... Przywalał po prostu. I tam coś pyta, więc ja tam mówię – „No wie, to pan jest głupi”. To ja cicho siedzę. Później coś tam, jakieś uszczypliwości robił. I w pewnym momencie... Zaraz, jak to było? Muszę sobie przypomnieć. Aha, pyta się: „A gdzie pan mieszka?”. Mówię, że na Chałubińskiego. „A, Chałubińskiego? A, Oczki tam niedaleko?” –

„Tak.” – „Tam jest to prosektorium.” – „Tak.” – „No to masz pan blisko do prosektorium”. A ja już byłem taki nabuzowany, mówię: „Wbrew pozorom to chyba pan ma tam bliżej niż ja”. I pamiętam, jego ścięto: „Jutro ósma piętnaście”. I w ten sposób zostałem przyjęty do wytwórni. Ale doprowadził mnie po prostu, że już mi było wszystko jedno. No i później... Właściwie praca w wytwórni to jest zupełnie inna przestrzeń już życia. Kontakty z ludźmi, sprawy problemów innych, trzeba było, że tak powiem, bardziej pomyśleć, bo między innymi też nagrywałem efekty synchroniczne do filmów, a więc trzeba było jakieś udawanki... na przykład, prawda, konia czy jakieś inne wzbogacenie. I chyba Kieślowski zrobił taki film, w którym była scena z sali operacyjnej, i oczywiście kamera chodziła po wnętrzu, i między innymi pokazane było w kadrze, jak taki mieszalnik jest i takie bryłki lodu się otaczają, i żeby to nagrać. Jak to nagrać? I wpadłem na pomysł, że poleciałem do kotłowni, wziąłem trochę koksu, nalałem do kubła wody, tego koksu i, słuchajcie, to był dźwięk takiego chrzęszczenia, obijania się, po prostu takie różne... Trzeba było na takie różne pomysły wpadać, różne rozwiązania. Albo była scena... To była jaskinia, gdzie skapywały z tych stalaktytów krople wody. I żeby to jakoś... Jak to zrobić? W końcu wpadłem na taki pomysł, że taki wziąłem lejek do takiego szlauchu, który zatkałem watą, tam jeszcze go tak troszkę drutem zacisnąłem i okazało się, że jeśli ja tym reguluję wysokość tego dopływu wody, który napierał, można było wytrenować, raz, dwa, trzy i rzeczywiście te krople: „plum, plum, plum, plum”, taka zrobiła się melodia... Właśnie no takie różne rozwiązania. Tego było multum. No a później zaproponowano mi pracę w dziale dyspozycji, gdzie byłem dysponentem do spraw produkcji właśnie filmu właśnie i fabularnego, i dokumentalnego. Wtedy miałem kontakty, które bardzo były, że tak powiem, przydatne przy realizacji „Wesela” Wajdy, bardzo musiałem znać kierownictwo produkcji, tam pani Barbara Petrzysicka była. I kiedyś, później, to już w stanie wojennym bardzo mi się przydało to, ale właśnie ta praca tam dała jakby inną przestrzeń kontaktów z ludźmi, z realizatorami, ze sprawami, bo moim zadaniem było od momentu skierowania do realizacji scenariusza zapewnienie środków, że tak powiem, wykonawczych, jak transportu kamery, operatora, uzgodnień, później, w dalszym ciągu, obróbki laboratoryjnej, później montażu, no dość ciekawa praca. I tam była cała masa zdarzeń, na ogół bardzo ciekawych. Wtedy właśnie poznałem ludzi, którzy są, że tak powiem, teraz nawet jakimiś wyznacznikami twórczości filmowej. Do filmu Łomnickiego bodajże była taka scena, już nie pamiętam, jaki to był film, ale była scena, jak jakieś było targowisko i w klatce kanarek, i trzeba było nagrać dźwięki. Więc wtedy jakoś tak udawało mi się nagrywać właśnie i takie dźwięki do tych... Później była też taka... Wieczorami, właściwie już poza pracą, odbywało się czasami, jeśli była taka potrzeba, nagrywanie muzyki do filmów. I nie pamiętam teraz, do jakiego filmu, ale wtedy Jerzy Maksymiuk, to były jego początki, jak muzykę stworzył do jednego z filmów, i w pewnym momencie, już tak wieczorem... Aha, i tam był Komeda, w każdym razie ci realizatorzy. I w pewnym momencie przychodzi strażnik z wartowni, to już było tak właśnie nocą, i pyta się: „Je tu jakiś Kumedant?”. Więc domyślili się, że tu chodzi o Komedę. „Bo jakiś tam wchodzi i do Kumedanta chce. A ja nie wiem, do jakiego. Bo toż ni ma żadnego”. A ja mówię, że to nie, to chodzi o tego... że to Komeda. I wpuścił tego człowieka. Tak że takich zdarzeń była masa. Jest cała masa w pamięci, już teraz nieco zawodnej, montażystek, pani Bojanowska i cała masa. I w pewnym momencie zdarzyło się tak... Ale to już czas Solidarności. Andrzej Chodakowski, znaleźli się... byli w Gdańsku w czasie strajku w Stoczni. I oni przez cały czas strajku byli tam na miejscu, i tam należało im... znów to do moich obowiązków należało, żeby... Bo nikt nie przypuszczał, że oni będą tam, bo pojechali w jakimś określonym czasie, żeby dostarczyć im materiały, taśmę filmową, żeby mogli kręcić. I właśnie to było między innymi moim zadaniem. I później, już przy realizacji filmu „Robotnicy '80”, musiałem czuwać nad obróbką filmu, żeby w laboratorium wszystko szło jak najlepiej. I też była taka sytuacja, że... Chorobcia, nie pamiętam w tej chwili tytułu. Ale to sobie zaraz przypomnę. I w każdym razie zaczęto...

Po prostu jak już film został zmontowany... I ja w pewnym momencie, ponieważ miałem też konieczność przeprowadzenia przez cenzurę, protokołów cenzury, tych wszystkich filmów, ja z niektórymi już tymi cenzorami byłem na tyle zaznajomiony, że oni nie raz tam: „Panie Zygmuncie, to niech pan powie, czy tam coś jest...”, na przykład żeby nie było komina jakiegoś tam albo przy moście, powiedzmy, gdańskiej rury czy... No takie różne rzeczy już wiedziałem, o co chodzi. I oni nieraz przez telefon: „Niech pan powie, czy jest coś tam takiego”... Nie, że wszystko jest w porządku. No dobra, to załatwiam. Tak że można było i tak załatwiać takie sprawy. Ale teraz film „Robotnicy”. Udało mi się... Pomimo tego, że musiałem robić sprawozdania ze spożytkowania ilości taśmy na robienie kopii, udało mi się przy bardzo dobrych układach z pracownikami laboratorium zrobić poza ewidencją drugą kopię „Robotników”. Bo wtedy był czas taki, że nie wiadomo było. I ja tę drugą kopię po prostu przekazałem dla archiwum, nierejestrowaną, pod tytułem, żeby było zabezpieczenie. I w pewnym momencie, jeśli chodzi o film „Robotnicy”, który miał być skierowany do rozpowszechniania, sytuacja była taka, że Polska Kronika Filmowa w tym czasie wytworzyła kronikę o rozszerzonym temacie na temat strajku. I pamiętam, wtedy z Ministerstwa Kinematografii był telefon, że nie będzie skierowania do rozpowszechniania filmu „Robotnicy”, bo film to osobne seanse, a ponieważ jest kronika, która dociera do wszystkich, do wszystkich kin, jest powszechnie, to nie ma co dublować. No i wtedy Andrzej Chodakowski i jeszcze Andrzej... oj, w tej chwili zapomniałem, przepraszam, i szef solidarności, poszliśmy do ministerstwa w ten sprawie, żeby uzyskać jednak zgodę rozpowszechniania. I nie chciano nam tego dać, i wtedy powiedzieliśmy, że ja do godziny dwunastej oczekuję na skierowanie do rozpowszechniania, bo jeśli nie będzie tego, to jesteśmy w kontakcie ze wszystkimi wytwórniami w Polsce, Bielsko, Łódź, prawda, i że jeśli nie będzie tego skierowania, to będzie natychmiastowy strajk wszystkich wytwórni filmowych w Polsce, że jesteśmy w takim porozumieniu. I proszę sobie wyobrazić, że na godzinę przed upływem czasu telefon mam z ministerstwa, że jest zgoda na rozpowszechnianie, no ale ja powiedziałem, że dobrze, ja dziękuję za informację, ale proszę papier. Przywieziono papier i w ten sposób, że tak powiem, uzyskane zostało skierowanie do rozpowszechniania. I pierwsza projekcja filmu „Robotnicy” była w kinie Skarpa na ulicy Kopernika. I tam była taka sytuacja, ponieważ ja miałem pewną możliwość rozdysponowania biletami na tę premierę i po prostu to się rozeszło jak bułeczki, w pewnym momencie, ponieważ miałem różne wtedy kontakty, z uniwersytetu telefon, że mają jakiegoś gościa z Leningradu, którego żeby wprowadzić. A ja już nie miałem. Więc powiedziałem, że dobrze, to ja mu oddam swoje zaproszenie, a ja sobie jakoś poradzę. I wtedy przy kinie Skarpa, tam nieopodal stała taka zielona budka telefoniczna, tam byłem umówiony, że on będzie coś tam w ręku miał i że się spotkamy, i udało mi się go wprowadzić na tę premierę. Mieliśmy oczywiście na balkonie w pierwszym rzędzie i ja mu tak na bieżąco dopowiadałem niektóre rzeczy. I taka była sytuacja, jak jest msza i rozdawanie komunii, on pyta: „Skażi, czto eto takoje?” I ja nie wiedziałem, jak powiedzieć, bo nie znałem na tyle rosyjskiego, ale mówię: „To chleb, taki boży chleb. Panimajesz?”. No i w ten sposób mu relacjonowałem, że tak powiem, te poszczególne jakby sceny, wydarzenia z tego filmu. I charakterystyczna rzecz, później po projekcji żeśmy wyszli, zupełnie milcząco, przeszliśmy tam podwórkami na Nowy Świat, i idziemy Nowym Światem, zbliżamy się już do ulicy Świętokrzyskiej, i ja do niego mówię: „Skażi czto ty dumajesz ob eto?”... I on powiedział: „Ja myślę, że jak się wam uda, to i my coś z tego będziemy mieli”. Takie ciekawe to były kontakty. Oczywiście później organizowałem przeglądy „Robotników” i między innymi miałem zorganizowany taki przegląd w kinie Elektron przy Dworcu Gdańskim. I tam już wszyscy się zebrali, i w pewnym... Nie chcą wpuszczać do kina. I kierownik kina po prostu powiedział, że projekcji nie będzie. I wtedy ta duża gromada ludzi, stojąca... jak już zaczęliśmy szukać możliwości i co się okazuje? Na ulicy Świętokrzyskiej w Ministerstwie Finansów na najwyższym piętrze była sala kinowa. I tam udało się w jakiś sposób załatwić, ponieważ

ja jeździłem wtedy skodą, przewoziłem ten film i tam zawieźliśmy, wszystkim na ucho się powiedziało, gdzie, i odbyła się projekcja na tym. A jeszcze wcześniej, ponieważ mieszkalem tu, na ulicy Stanów Zjednoczonych, w pewnym momencie, jak jechałem właśnie na tę projekcję, to zauważyłem, że za mną samochód milicyjny jechał. No ale jedzie, to jedzie. Skręcam na Powiśle, jedzie za mną. Skręcam Poniatowskim na Aleje Jerozolimskie, jedzie za mną. Wtedy jeszcze można było jechać Nowym Światem, jedzie za mną. No to już byłem pewien, że coś tu jest nie tak. I tak wymyśliłem: „Jak się tu odczepić od niego?”. I w pewnym momencie zrobiłem tak, że na wysokości uniwersytetu... Właśnie wtedy jechałem do tego kina Elektronik, na wysokości uniwersytetu przyspieszyłem znacznie i na prawy pas przeszedłem, i za uniwersytetem przed Kościołem Wizytek jest taki plac. Ja skręciłem tam, a ci przelecieli prosto. Oni tam polecili, a ja zakręciłem i w ulicę Królewską. I żeby przez Plac Piłsudskiego, tamtędy pojechać. No i wydaje mi się, że wtedy zgubiłem trop. Bo jestem pewien, że jechali za mną. Tak że takich mikroszen z tamtego czasu było bardzo dużo, w tej chwili tak na bieżąco nie wszystkie pamiętam, ale bardzo dużo organizowałem takich projekcji pokazowych filmu „Robotnicy” w różnych miejscach. Nawet gdzieś mam takie bilety, jak to robiłem sobie z pieczętkami, żeby to jakoś opanowywać.